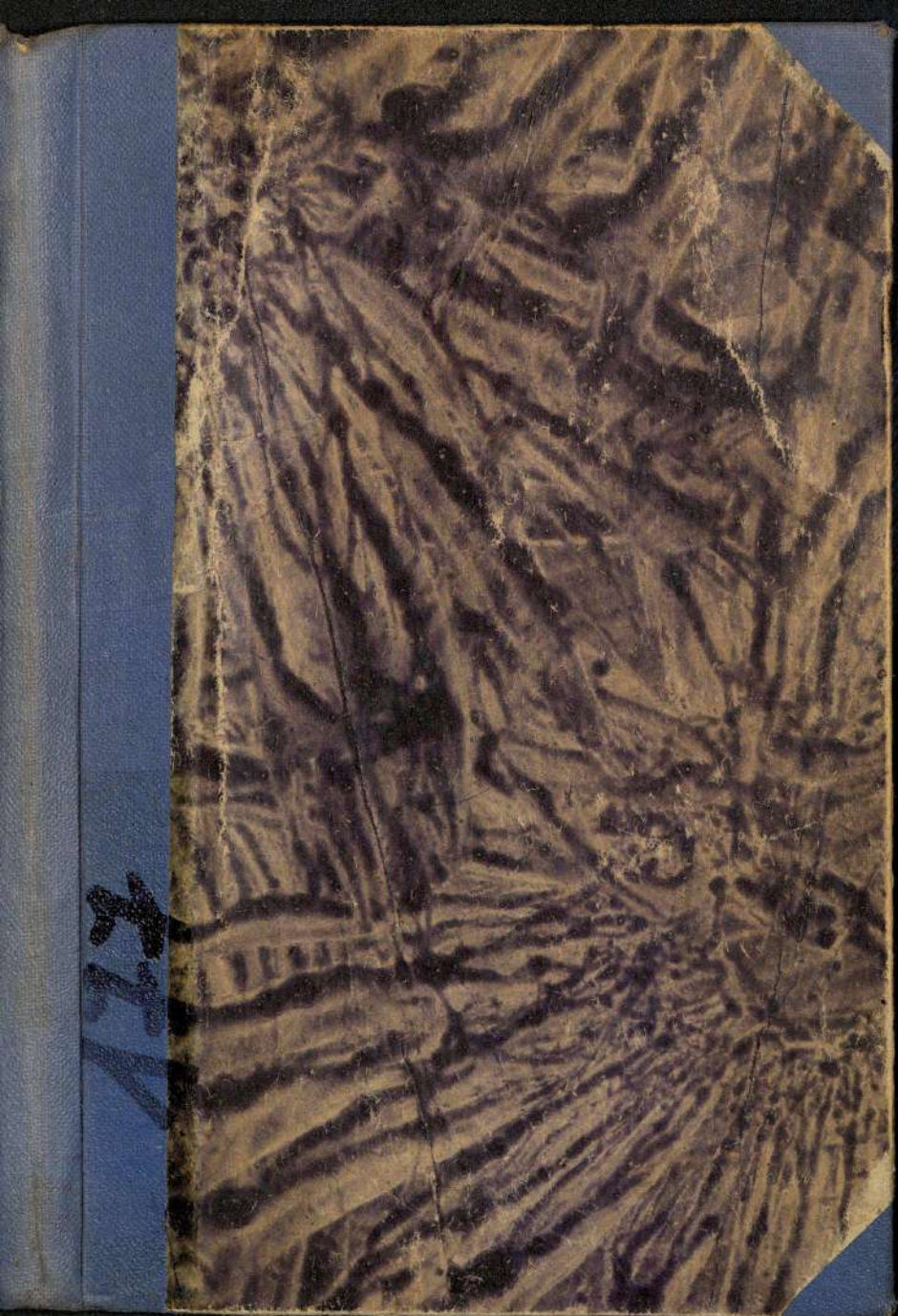




BIBLIOTECHKA UNIwersYTETÓW
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

215

HENRYK SIENKIEWICZ

STARY SŁUGA

WYDANIE PIĄTE



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

BIBLIOTEKAZKA UNIWERSYTETÓW MINDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

127.	MICKIEWICZ A. Ballady i romanse. Wyd. 3	0:50
128.	MICKIEWICZ A. Bajki i powiastki. Wyd. 2	0:30
129.	MICKIEWICZ A. Liryki. Wyd. 2	0:60
130.	SŁOWACKI J. Ojciec zadżumionych. — W Szwa-j- carji. Wyd. 8	0:40
131.	SŁOWACKI J. Jan-Bielecki. — Mnich. — Arab. — Hugo. Wyd. 3	0:50
132.	SŁOWACKI J. Mindowe. Król litewski. Obraz hi- storyczny w 5 aktach. Wyd. 2	0:60
133.	SŁOWACKI J. Złota czaszka. Szczątek dramatu. Wyd. 2	0:45
134.	SŁOWACKI J. Marja Stuart. Wyd. 2	0:60
135.	ORZESZKOWA E. Daleko. — Karjery. Wyd. 2	0:30
136.	ORZESZKOWA E. Śmierć domu. Wyd. 2	0:30
137.	ORZESZKOWA E. Dobra pani. Wyd. 5	0:75
138.	ORZESZKOWA E. Panna Róża. Wyd. 2	0:45
141.	KONOPNICKA M. Z liryk i obrazków. Wyd. 2 . . .	
142.	NIEMCEWICZ J. U. Śpiewy historyczne. Wyd. 2 . .	0:65
143.	MICKIEWICZ A. Sonety krymskie. — Farys. Wyd. 3	0:25
144.	KRASINSKI Z. Liryki. Wybór. Wyd. 2 zwiększone	0:60
145.	BRODZIŃSKI K. Wiesław. Sielanka krakowska. Wyd. 6 popraw.	0:30
146.	KONDRATOWICZ L. Szkolne czasy. Nowe opowia- danie Jana Dęboroga. Wyd. 3	
147.	SŁOWACKI J. Liryki. Wyd. 2 powiększone	0:60
148.	MALCZEWSKI A. Marja. Powieść ukraińska. Wyd. 3	0:35
149.	FREDRO A. hr. Pan Geldhab. Komedja w 3 aktach wierszem. Wyd. 3	0:40
150.	FREDRO A. hr. Zemsta. Komedja w 4 aktach, wier- szem. Wyd. 4	1:50
151.	FREDRO A. hr. Śluby panieńskie czyli Magnetyzm serca. Komedja w 5 aktach, wierszem. Wyd. 3 . . .	0:70
152.	KARPIŃSKI FR. i KNIAŻNIN D. Wybór poezyj. Wyd. 2	0:60
153.	KORZENIOWSKI J. Mnich. Trag. w 3 aktach. Wyd. 2	0:75
154.	KRASICKI I. Satyry i listy. Dopełnione podług kry- tycznego wydania L. Bernackiego. Wyd. 2	0:70
155.	NARUSZEWICZ A. Satyry. Wyd. 2	0:50
156.	CALDERON DE LA BARCA. Książę Niezłomny. Tra- gedja w 3 aktach. Przekład J. Słowackiego. Wyd. 2	0:80
157.	SCHILLER FR. Wilhelm Tell. Dramat. Przekład J. N. Kamińskiego. Wyd. 2	0:80



51E.

Z PAM.

177

„STARY SŁUGA”

Obok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam, za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów¹⁾, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach, grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej, Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po ś. p. rodzicu swoim, przy którym za czasów napoleońskich wojen był ordynansem²⁾. Kiedy w służbę do dziada mojego nastął, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał:

— Ta³⁾, byłem jeszcze gołowąsem, a i pan pułkownik, Panie świeć nad jego duszą, jeszcze ko-szulę w zębach nosił.

¹⁾ Mamut — słoń pierwotny, olbrzymich rozmiarów; żył w dawniejszych epokach geologicznych. Przenośnie: człowiek bardzo stary, zacofaniec; ²⁾ ordynans (z franc.) — rozkaz, zlecenie, rozporządzenie. Ordynansem zwie się również żołnierz, oddany oficerowi do rozporządzenia, jako służący; ³⁾ ta (gw. lud.) — ot.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencierzem¹⁾, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódeczanego, od piwnic, od lamusu²⁾; nakręcał zegary, ale przedewszystkiem zrzedził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej, jak mru-
czącego. Mruczał na ojca mego, na matkę: ja bałem
się go, jak ognia, choć go lubilem; w kuchni wyra-
biał brewerję³⁾ z kucharzem, chłopaków kredenso-
wych ciągał za uszy po całym domu i nigdy z ni-
czego nie był kontent. Kiedy zaproszył głowę⁴⁾, co
stałe zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie
dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy⁵⁾ z panem
lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to cho-
dził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gde-
rając bez końca. W czasie obiadu stawał za krze-
słem ojca i, choć sam nie posługiwał, ale doglądał
posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szcze-
gólniejszą pasją.

— Oglądaj się, oglądaj — mruczał — to ja ci
się obejrzę. Patrzcie go! Nie może duchem⁶⁾ usłu-
giwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara kro-
wa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie sły-

¹⁾ Kredencierz (z włosk.) — sługa, mający pod sobą kredens, nakrywający do stołu; ²⁾ lamus (z niem.) — dom, zwykle murowany i odosobniony, zabezpieczony od ognia, do chowania różnych rzeczy; magazyn; ³⁾ brewerja (z włosk.) — hałas, awantura, kłótnia; ⁴⁾ zaproszyć głowę — podchmielić, podpić sobie; ⁵⁾ burda (średn. łac.) — zwada, kłótnia; ⁶⁾ duchem (gwar. lud.) — co duchu, co tchu, prędko, co sił starczy, szybko.

szy, że go pan woła! Zmień pani talerz! Czego gębę otwierasz, co? Widzicie go! Przypatrzcie mu się!

Do rozmowy, prowadzonej przy stole, stale się wtrącał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz, bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby zalażył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie do tego? A niech ta ¹⁾ koniska nogi polamią na takiej drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać, i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, że nie głupi? Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżej gospodyni z Niewodowa, a państwowby nie mieli jechać na wizytę! Albo to wizyta gorsza od księżej gospodyni? Wolno słudze, wolno i panu.

I tak szło już wółko bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i mój brat młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej, niż naszego guwenera ²⁾, księdza Ludwika, a z pewnością więcej, niż obojga rodziców. Dla siostr był grzeczniejszy. Mawiał każdej «panienka», choć były młodsze, ale

¹⁾ Niech ta (gwar. lud.) — niech tam; ²⁾ guwener (z franc.) — nauczyciel domowy, wychowawca.

nas tykał bez ceremonji. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony¹⁾ w kieszeni. Nieraz, bywało, po lekcjach wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się, jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta.

A potem, przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony²⁾, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcje — odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcje. He! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc, szukał już po kieszeniach). Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie, i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał

¹⁾ i ²⁾ Kapiszon (z franc.) — pochewka walcowa, czyli kapturek z blaszki miedzianej, na spodzie napelniony małą ilością rtęci piorunującej. Kapiszon służy za środek zapalny przy strzelbach dawniejszej budowy. Zasadza się go na pistonie (z franc.), t. j. na stalowym stożku, w którym wywiercony jest zapal, wprowadzający ogień do ładunku.

mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on to ten pistolet trzyma — mówił — jak cyrulik s....gę. Gdzie tobie świece gasić, chyba jak dziadowi w kościele! Na księdza ci iść, zdrowaśki¹⁾ odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem, choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— Ei kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołaisko, gdy oddawano mnie do szkół, buczał²⁾ tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał³⁾ i nudził ich ze dwa tygodnie: «Wzięli dziecko i wywieźli — mówił. — A niechta⁴⁾ umrze! Uu! ul A jemu poco szkoły? Abo to on nie dziedzic? Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko i pojechało, a ty, stary, łaż po kątach i szukaj, czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało».

¹⁾ Zdrowaśka a. Zdrowaś — Zdrowaś Marja (w pacierzu); ²⁾ buczyć (wyraz z gwar. lud.) — płakać, szlochać, beczeć; ³⁾ stetryczeć — stać się tetrykiem, zgorzknieć, znudnieć, zdziwaczeć; ⁴⁾ niechta (gw. lud.) — niech.

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okienne w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnym światłem, barwiąc na różowo śnieg, leżący pod przyźbą¹⁾. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nie-szczególną. Ot poprostu, nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny²⁾ i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej, milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni, i stary Mikołaj z nosem, zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: «Paniczku złoty, najdroższy!» jak krzyknie i, stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyną ściskać i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi tej śmietanki: «Człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę — mówił — a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał...» i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę za dwa mierne: z kaligrafji i z niemiec-

¹⁾ Przyzba a. przyźba, przyspa — ława, usypana z ziemi zewnątrz domu pod ścianą; ²⁾ rutyna (z franc.) — wprawa; biegłość, zdobyta przez praktykę, nawyknienie.

kiego, jakie z sobą przyniosłem; ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja ¹⁾ mojej słodkiej matki, a nakoniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie. Mikołaj o kaligrafji nie wiedział, co by to było za stworzenie, a o karze za niemiecki ani chciał słyszeć.

— A cóż to on luter jest, czy Szwab jaki? — mówił. — Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? Albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umie? co? Jakiśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i djabeł wie nie gdzie, tośmy, pada ²⁾), nie nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i, pada, tyle.

Stary Mikołajsko miał jeszcze jedną właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w starej głowie fakta mieszały się mu jedne z drugimi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego, pułkownika, a święcie sam wierzył w to, co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyźniaków ³⁾ młócących zboże,

¹⁾ Interwencja (z łac.) — wdanie się, wmieszanie się, pośrednictwo; ²⁾ pada (gw. lud.) — powiada; używa się także w gwarze ludowej, jako wtrącony wyraz w zdaniu, bez znaczenia; ³⁾ pańszczyźniak (gw. lud.) — chłop pańszczyźniany, t. j. odrabiający w dawnych czasach pracę obowiązkową dla dworu za zajmowane grunta.

jak im zaczął rozprawiać, to chłopci zawieszali robotę i, poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawianemi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegli i w krzyk:

— Czegożście wyrzucowali ¹⁾ na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu łupul cupul łupul cupul! Słychać było przez jakiś czas odgłos cepów, uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Piszze mi mój syn, że właśnie został generałem u królowej Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żold ²⁾, pada, bierze wysoki, tylko pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który, doszedłszy lat, nabroił Bóg wie co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu; córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamucila się ze wszystkimi oficjalistami ³⁾, jacy tylko byli we wsi, i wreszcie, wydawszy na świat córkę, umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna, ale słabowita dziewczynka. Nie raz, pamiętam, bawiliśmy się razem w żołnierzy: Hania bywała dobosem ⁴⁾, a pokrzywy naszymi nieprzyjaciółmi. Dobra była i łagodna, jak anioł. Czekala ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

¹⁾ Wyrzucować — wysunąć ku komu, wymierzyć, nakierować; ²⁾ żold — płaca żołnierza; ³⁾ oficjalista — urzędnik w służbie prywatnej, przy zarządzie dóbr; ⁴⁾ do-bosz (z węgiersk.) — żołnierz, bijący w bęben.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam sły-
szałem go opowiadającego, że jak raz rozhukaly się
konie ulanom w Marjampolu¹⁾, to ośmnaście ty-
sięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy.
Ilu ludzi natratowały, co to był za sądny dzień, nim
je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opo-
wiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszyst-
kim we dworze, co następuje:

— Czy się dobrze biłem? Co się nie miałem
dobrze bić! Raz, pamiętam, była wojna z Austrja-
kiem. Stoję ja sobie w szeregu, no, w szeregu, mó-
wię, aż tu podjeżdża do mnie naczelný wódz, niby
chcę powiedzieć, od Austrjaków, od strony przeciw-
nej i pada: «Ej, ty, Suchowolski, znam ja ciebie!
Żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą
wojnę skończyli».

— A o pułkowniku nie wspomniał? — zapy-
tał mój ojciec.

— A jakże! Przecie wyraźnie mówiłem, że,
pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwił i rzekł:

— Ależ ty, Mikołaju, łiesz, jakbyś osobny żołd
za to pobierał.

Stary nachmurzył się i byłby się oburknął, ale,
że księdza bał się i poważał, więc milczał, a po chwili,
chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

— To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki,
kapelan²⁾. Jak raz dostałem od Austrjaka bagnetem

¹⁾ Marjampol — miasto powiatowe na Litwie nad
rzeką Szeszułą; ²⁾ kapelan (z łac.) — ksiądz, zawiadu-
jący kaplicą, przy kościele, obozie, instytucjach, domach
prywatnych.

pod dwudzieste, chciałem powiedzieć pod piąte żebro, było ze mną źle. Ha! myślę, trzeba umrzeć, spowiadam się więc Panu Bogu Wszechmogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a wkońcu powiada: «Bój się Boga, Mikołaju, pada: taćzes ty wszystko zelgał!» A ja mu na to: «Może być, ale sobie więcej nie przypominam».

— I wyleczyli cię?

— Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć! Ja sam się wykurowałem¹⁾. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabojuów prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrów, jak ryba.

Bylbym więcej nasłuchał się tych opowiadań i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dlaczego, zakazał Mikołajowi «dorezszty, jak mówił, mi głowy zawracać». Biedny ksiądz Ludwik, jako ksiądz i cichy mieszkaniiec wioski, nie wiedział, po pierwsze, że każdemu młodzieńcowi, którego burza z cichego kąta rodzinnego na szeroką arenę²⁾ życia wyrzuci, musi się nieraz głowa zawrócić, a powtóre, że nie starzy słudzy i ich opowiadania, ale zgola kto inny głowę zawraca.

Zresztą, wpływ Mikołaja na nas nie mógł być szkodliwy, bo, przeciwnie, stary sam czuwał nad nami i nad naszym postępowaniem nader starannie i surowo. Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu sumienny. Z czasów żołnierskich pozostał

¹⁾ Kurować się (z łac.) — leczyć się; ²⁾ arena (z łac.) — tu: pole walki, przestrzeń, obszar.

mu jeden bardzo piękny przymiot, to jest właśnie owa sumienność i dokładność w wypełnianiu rozkazów. Pamiętam, jednej zimy wilki poczęły u nas robić ogromne szkody i rozzuchwały się tak dalece, że nocą wchodziły po kilku i kilkunastu do wsi. Ojciec, sam zawołany myśliwy, pragnął wyprawić polowanie; że zaś chodziło mu o to, żeby nad obławą objął komendę sąsiad nasz, p. Ustrzycki, znany łepiciel wilków, napisał więc do niego list, potem zawołał Mikołaja i rzekł:

— Arendarz¹⁾ jedzie do miasta, niech Mikołaj zabierze się z nim, niech wysiadzie po drodze w Ustrzycy i odda panu list. Tylko koniecznie przywieźć mi odpowiedź: bez odpowiedzi mi nie wracać.

Mikołaj wziął list, zabrał się z arendarzem i pojechał. Wieczorem arendarz wrócił: Mikołaja niema. Ojciec myślał, że może zanocował w Ustrzycy i że wróci nazajutrz razem z naszym sąsiadem. Tymczasem upływa dzień, Mikołaja niema; upływa drugi — niema; trzeci — niema. W domu lament²⁾. Ojciec w obawie, że może wilki napadły go w czasie powrotu, rozsyła ludzi. Szukają i nie mogą znaleźć ani śladu. Posyłają do Ustrzycy. W Ustrzycy powiadają, że był, pana nie znalazł, że się o niego pytywał, gdzieby bawił; potem pożyczył od lokaja cztery ruble i poszedł niewiadomo dokąd. Zachodziłszy w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Na

¹⁾ Arendarz — dzierżawca karczmy albo mlyna; tu — karczmarz; ²⁾ lament (z łac.) — narzekania płaczliwe, skargi, żal, silny i głośny płacz.

drugi dzień wrócili posłańcy z innych wiosek z wiadomością, że nigdzie nic nie znaleźli. Jużemy tedy zaczęli go oplakiwać, aż tu szóstego dnia na wieczór ojciec właśnie wydawał dyspozycję ¹⁾ w kancelarji: nagle słyszy za drzwiami wycieranie nóg, chrzkanie i mruczenie półgłosem, po którym natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie był to Mikołaj, przeziębnięty, wychudzony, zmęczony, z sopłami lodu na wąsach, prawie do siebie niepodobny.

— Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu?

— Co robił, co robił? — mruczy Mikołaj. Co miałem robić? Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go takóŜ nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to on nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili, że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czy to on wójt? Pojechał do gubernji. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do gubernji i oddałem mu list.

— No i dał ci odpowiedź?

— Dał, nie dał. Jużci ²⁾ dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. «Pan twój, pada, prosił mnie na polowanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada,

¹⁾ Dyspozycja (z łac.) — rozporządzenie, rozkaz, zarządzenie; ²⁾ jużci (gw. lud.) — tu: oczywiście.

po polowaniu». I znowu się śmiał. O co jest list. Dlaczego się nie miał śmiać? Albo...

— I cóżes ty jadł przez ten czas?

— To i cóż, że od wczoraj nie jadłem? Albo to ja tu głód cierpię? Albo to mi ciężkie strawy żalują? Nie jadłem, to będę jadł...

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale, ile razy go gdzie wysyłano, zawsze mu mówiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w kilka miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta, za kupnem koni fornańskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity, i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

— Co tobie jest, Mikołaju?

— Pobitem się — odburknął krótko.

— Wstydz się, stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz. Stary a głupi! Wiesz ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę? Wstydz się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład?

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał, jak pień. Widocznie stary zaciął się. Napróżno dopytywali go inni, jak i co to było. Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Naza-

jutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, Niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca, i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się pan Zoll, nasz dawny karbowy, i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe¹⁾ woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieniec²⁾, a gdy pan Zoll dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczas to karbowy wraz z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

Ojcu memu, gdy usłyszał to opowiadanie, łzy zakręciły się w oczach. Nie mógł sobie darować, że wyburczał Mikołaja, który naumyślnie o całej sprawie zamilczał. Gdy wyzdrowiał, ojciec poszedł mu robić wymówki. Stary początkowo nie chciał się przyznać do niczego i według zwyczaju mruczał, ale potem rozczulił się, i popłakali się razem z ojcem, jak bobry. Zolla wyzwał ojciec za tę sprawę na pojedynek, który Niemiec długo popamiętał.

Jednakże, gdyby nie doktor, poświęcenie Mikołaja pozostałoby w ukryciu. Tego doktora swoją drogą Mikołaj przez długi czas nienawidził. Była to rzecz taka: miałem śliczną i młodą cioteczkę, sio-

¹⁾ Opasowy (przym. od opas) — przeznaczony na opas; tuczny, karmny, karmiony na mięso albo tłuszcz;

²⁾ odmieniec (gw. lud.) — wyrodek.

strę ojca, która mieszkała przy nas. Kochałem ją bardzo, bo była równie dobra, jak piękna, i bynajmniej mnie nie dziwiło, że kochali ją wszyscy, a między wszystkimi i doktor, człowiek młody, rozumny i w całej okolicy nadzwyczaj poważany. Mikołaj poprzednio lubił doktora, mawiał nawet o nim, że to łebski¹⁾ chłopak i że dobrze na koniu siedzi; ale gdy doktor począł bywać u nas w widocznych zamiarach względem cioci Maryni, uczucia Mikołaja dla niego zmieniły się do niepoznania. Zaczął być dla niego grzeczny, ale chłodny, jak dla człowieka zupełnie obcego. Dawniej nieraz, bywało, zrzędził i na niego. Gdy czasem zasiedziało się u nas zbyt długo, Mikołaj, ubierając go na drogę, szemrał: «Coto po nocy się tłuc. To się na nic nie zdało. Czy to kto kiedy widział?» Teraz przestał zrzędzić, ale natomiast milczał, jak skamieniały. Pocziwy doktor zrozumiał wkrótce, o co idzie i, jakkolwiek uśmiechał się, jak dawniej, do starego dobrotliwie, przecież myślał, że w duszy musiało mu to być przykro.

Szcześnie jednak dla młodego eskulapa²⁾, ciocia Marynia żywiła dla niego uczucia wprost Mikołajowym przeciwne; stało się więc pewnego pięknego wieczora, że, gdy księżyc świecił w sali bardzo ładnie, gdy zapach jaśminu wchodził przez otwarte okna z ogrodowych klombów, a ciocia Marynia śpiewała przy fortepianie: «Io questa notte

¹⁾ Łebski (gw. lud.) — tęg, dziarski; ²⁾ eskulap (z łac. Aesculapius — imię mitycznego lekarza) żartobl. lekarz, doktor.

Stary sługa.

sogno» ¹⁾), doktorek Staś zbliżył się do niej i spytał ją drżącym głosem, czy sądzi, że on żyć bez niej potrafi? Ciocia wyraziła, oczywiście, swoje powątpiewania w tym względzie, poczem nastąpiły wzajemne zakłęcia, wzywanie księżycą na świadka i wszystkie tym podobne rzeczy, jakie się zawsze w takich razach dzieć zwykły.

Na nieszczęście, w tej chwili właśnie wszedł Mikołaj z zamiarem proszenia na herbatę. Gdy ujrzał, co się dzieje, pobiegł natychmiast do ojca, a ponieważ ojca nie było w domu, bo obchodził na folwarku zabudowania, udał się więc do matki, która ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem prosiła go, żeby się do tego nie wtrącał.

Skonfundowany ²⁾) Mikołaj milczał już, gryząc się wewnętrznie przez resztę wieczora; ale gdy ojciec przed udaniem się na spoczynek poszedł jeszcze do kancelarji dla napisania jakichś listów, Mikołaj udał się za nim i, stanąwszy przy drzwiach, począł chrząkać znacząco i szurgać nogami.

— Czego tam Mikołaj chce? — spytał ojciec.

— A to tego... Jakże się nazywa? A to ja chciałem się pana spytać, czy to prawda, że panienska nasza się... żeni, chciałem powiedzieć: idzie zamaż?

— Prawda. Alboż co?

— A bo to nie może być, żeby panienska wyszła za tego... pana cyrulika ³⁾).

¹⁾ lo questa notte sogno (po włosku) — marzę tej nocy; ²⁾ skonfundować się (z łac.) — zmieszać się, zawstydzić się, zbieć z tropu; ³⁾ cyrulik — felczer, balwierz, golibroda,

— Co za cyrulik? Czy Mikołaj oszalał! Że też Mikołaj musi wszędzie wścibić swoje trzy grosze!

— A cóżto, panienka, to nie nasza panienka, czy to nie córka pana pułkownika? Pan pułkownik nigdyby na to nie pozwolił! Czy to panienka nie warta dziedzica i pana z panów? A doktor to z przeproszeniem co? Na śmiech ludzki się panienka poda.

— Doktor to mądry człowiek.

— Mądry, nie mądry! Czy to ja mało doktorów widziałem? Chodzili to po obozie, kręcili się to po sztabie¹⁾, a jak co do czego, jak do bitwy, to ich niema. Albo to pan pułkownik raz ich nazywał lancetnikami! Jak człowiek zdrowy, to on go nie ruszy, a jak leży nawpół żywy, to on dopiero do niego z lancetem²⁾. To nie sztuka krajać takiego, co nie może się bronić, bo nie w garści nie może utrzymać. Spróbuj ty go ukrajać, kiedy on zdrowy i trzyma karabin. Oj jej! wielka rzecz ludziom po kościach nożem chodzić! To się na nic nie zdało! A pan pułkownik chybaby z grobu wstał, żeby się o tem dowiedział. Co mi to za żołnierz, doktor! Albo taki też i dziedzic. To nie może być! Panienka za niego nie pójdzie. To nie jest według przykazania. Komu to tu po panienkę sięgać?

Na nieszczęście Mikołaja, doktor nietylko po panienkę sięgnął, ale jej nawet dosięgnął. W pół roku potem nastąpiło wesele, i panna pułkownikówna, oblana potokiem lez krewnych i domowni-

¹⁾ Sztab — ogół oficerów wyższych; ²⁾ lancet (z franc.) — mały nożyk obosieczny, używany przez lekarzy.

ków w ogólności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dolę z doktorem.

Mikołaj do niej urazy nie chował, bo nie mógł długo chować: zbyt ją kochał. Ale jemu nie chciał przebaczyć. Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska i wogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem jak najszczęśliwsza. Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potem już naprzemiany, jak zapisał. Mikołaj dzieci te kochał, jak własne, obnosił je na rękę, pieścił, całował; że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorycz z powodu *mezaljansu*¹⁾ cioci Maryni, zauważyłem to jeszcze niejednokrotnie. Raz, pamiętam, w święta Bożego Narodzenia zasiedliśmy do wilji, gdy nagle zdala po grudzie dał się słyszeć turkot powozu. Spodziewaliśmy się zawsze mnóstwa krewnych, dlatego ojciec rzekł:

— Niech Mikołaj wyjrzy, kto tam jedzie.

Mikołaj wyszedł i powrócił wkrótce z radością na twarzy.

— Panienska jedzie! — wykrzyknął zdaleka.

— Kto taki? — spytał mój rodzic, choć wiedział już, o kim mowa.

— Panienska!

— Jaka panienska?

— Nasza panienska — odparł stary.

I trzeba było widzieć tę panienskę, jak wchodziła do pokoju z trojgiem dzieci. Śliczna mi pa-

¹⁾ Mezaljans (z franc.) — małżeństwo, nieodpowiednie dla jednej ze stron.

nienka! Swoją drogą stary umyślnie nigdy jej inaczej nie nazywał.

Ale wreszcie skończyła się i jego niechęć do doktora Stasia. Zachorowała mu ciężko Hania na tyfus. Były to i dla mnie dni strapienia, bo Hania była moją rówieśnicą i jedyną towarzyszką zabaw, kochałem ją więc prawie jak siostrę. Owóż doktor Staś trzy dni prawie nie wychodził z jej pokoju. Stary, który Hanię kochał całą siłą duszy, przez czas jej choroby chodził, jak struty: ani jadł, ani spał; siedział tylko u drzwi jej pokoju, bo do łóżka nikomu, prócz mojej matki, nie wolno było przystąpić, i żuł twardą, żelazną boleść, która rozrywała mu piersi. Była to dusza zahartowana zarówno na trudy ciała, jak i na ciosy niedoli, a jednak mało się nie ugięła pod brzemieniem rozpacz, przy łożu jednego dziewczątka. Aż gdy wreszcie, po wielu dniach śmiertelnej bojaźni, doktor Staś otworzył cicho drzwi od pokoju chorej i z promienną szczęściem twarzą wyszeptał do oczekujących wyroku w przyległej izbie jeden mały wyraz: «Uratowana!», stary nie wytrzymał, ale ryknął, jak żubr, i rzucił mu się do nóg, powtarzając tylko ze łkaniem: «Dobrodzieju mój! dobrodzieju!»

Hania rzeczywiście szybko potem wyzdrowiała; doktor Staś oczywiście został oczkiem w głowie starego.

— Łebski człowiek — powtarzał, muskając suniaste wąsy — łebski człowiek. I na koniu dobrze siedzi, i gdyby nie on, toby Hania... ot! nie chcę nawet wspominać. Na psa urok!

Ale w rok jaki po tem zdarzeniu poczał zapa-

dać sam stary. Prosta i silna postać jego pochyliła się. Zgrzybiał bardzo, przestał marudzić i kłamać. Wkońcu, dobiegłszy prawie dziewięćdziesięciu lat życia, zdziecinniał całkowicie. Robił tylko sidła na ptaszki i chował ich mnóstwo, zwłaszcza sikorki, w swojej stancji. Na kilka dni przed śmiercią nie odróżniał już ludzi; ale w sam dzień śmierci dogorywająca lampa jego umysłu zaświeciła raz jeszcze jasnym światłem. Pomnę, że rodzice moi, dla zdrowia matki, byli wtedy zagranicą. Pewnego wieczoru siedziałem przed kominkiem z bratem młodszym, Kaziem, i z księdzem, który także bardzo się już był posunął. Wiecher zimowy z tumanami śniegu tłukł w szyby; ksiądz Ludwik modlił się, ja zaś z pomocą Kazia opatrywałem broń na jutrzejszą ponowę¹⁾. Nagle dali nam znać, że stary Mikołaj kona. Ksiądz Ludwik ruszył natychmiast do domowej kaplicy po Sakramenta, ja zaś pobiegłem co tchu do starca. Leżał na łóżku blady już bardzo, żółty i prawie stygnący, ale spokojny i przytomny. Piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami, głowa starego żołnierza i uczciwego człowieka. Światło gromnicy rzucało trumienny blask na ściany pokoiku. Po kątach kwiliły chowane sikorki. Starzec jedną ręką przyciskał do piersi krucyfiks, drugą dłoń jego podtrzymywała i okrywała pocałunkami bledziuchna jak kwiatek lilji Hania. Wszedł ksiądz Ludwik, i zaczęła się spowiedź; potem umierający zażądał mnie widzieć.

¹⁾ Ponowa — pierwszy śnieg, spadły na gołą ziemię, wskazujący wyraźnie trop zwierzca.

— Niema mojego pana i ukochanej pani — wyszeptał — więc ciężko mi umierać. Ale wy jesteście, paniczu złoty, dziedzicu mój... Opiekujcie się tą sierotą... Bóg wam nagrodzi. Nie gniewajcie się... Jeślim co zawinił... przebaczcie. Bywałem przykry, ale wierny...

Nagle, rozbudzony na nowo, zawołał mocniejszym głosem i z pośpiechem, jakby mu już brakło tchu:

— Paniczu!... Dziedzicu!... moja sierota!... Boże, w ręce... Twoje...

— Polecam ducha tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka! — dokończył uroczyście ksiądz Ludwik.

Starzec już nie żył.

Uklękliśmy, i ksiądz począł głośnie czytać modlitwy za umarłych.

Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile poczciwego sługi porosły bujnie wrzosa cmentarne. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojej wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie; ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania...

Hej! lży się kreca!

BIBLIOTEKAZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

159. BYRON. Giaur. Ułomki powieści tureckiej. Przekład
A. Mickiewicza. Wyd. 2 0-30
160. SCHILLER FR. Marja Stuart. Tragedja w 5 aktach.
Przekład M. Budzyńskiego. Wyd. 2 1-20
161. BYRON. Manfred. Przekł. Fr. Morawskiego. Wyd. 2 0-40
162. BYRON. Wiezień Czylłonu. Przekład Fr. Moraw-
skiego. Wyd. 2 0-15
163. SZYMAŃSKI A. Stolarz Kowalski. Opowiadanie sy-
beryjskie. Wyd. 2 0-50
164. SŁOWACKI J. Anelli. Wyd. 3 zupełne 0-35
165. KRASIŃSKI Z. Przedświt. Wyd. 3, oprac. Jan Czubek 0-60
166. MICKIEWICZ A. Konrad Wallenrod. Powieść histo-
ryczna z dziejów litewskich i pruskich. Wyd. 3 0-50
167. MICKIEWICZ A. Grażyna. Wyd. 7 0-70
168. SZEKSPIR W. Sen nocy letniej. Baśń dramatyczna
w 5 aktach. Przekł. St. Koźmiana. Wyd. 3
169. ŚWIĘTOCHOWSKI AL. Hymn niemych. — Woly.
Wyd. 2 0-20
170. DYNOWSKA M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa pol-
skiego: Bielski, Górnicki, Strykowski, Paprocki 0-35
171. SZEKSPIR W. Hamlet. Tragedja w 5 akt. Przekł.
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-90
172. SZEKSPIR W. Makbet. Tragedja w 5 akt. Przekład
J. Paszkowskiego. Wyd. 3 0-70
173. SZEKSPIR W. Romeo i Julja. Tragedja w 5 aktach.
Przekł. J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-70
174. SZEKSPIR W. Król Lir. Tragedja w 5 akt. Przekł.
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-90
175. SZEKSPIR W. Otello. Tragedja w 5 akt. Przekład
J. Paszkowskiego. Wyd. 2 0-80
176. MOŚCICKI H. Wernyhora. — Książd Marek. Wyd. 2 0-25
177. CZARTORYSKI A. Katechizm rycerski. Wydał
i przedmową poprzedził H. Mościcki. Wyd. 2 0-50
179. KATECHIZM NARODOWY z 1791 r. Wydał H. Mo-
ścicki. Wyd. 2 0-30
180. REYMONT WL. ST. Z ziemi chełmskiej. Wrażenia
i notatki. Wyd. 5 1-40
181. PRUS B. Omyłka. Wyd. 4 poprawione 1-50
182. ROMANOWSKI M. Liryki 0-40
183. PRUS B. Grzechy dzieciństwa. Wyd. 3 1-50

BIBLIOTECZKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

184. SZUJSKI J. Chocim i Cecora. Wyd. 2	0:30
185. SZUJSKI J. Tadeusz Rejtan na Sejmie 1773 r. Wyd. 2	0:30
186. SŁOWACKI J. Grób Agamemnona. — Testament mój. W oprac. I. Chrzanowskiego.	0:75
187. PAPEE F. Z dziejów rozwoju miast w Polsce	
188. CHRZANOWSKI I. Liryka patriotyczna Asnyka	0:25
189. ASNYK A. (El...y). Poezje patriotyczne i społeczne (Wybór)	0:40
190. SHAKESPEARE W. (Szekspir). Juliusz Cezar. Tragedja w 5 aktach. Tłumaczenie A. Pajgerta. Wyd. 2	0:90
191. HOFFMANOWA Z. TĄSKICH KL. Obiad czwartkowy. Opis wyjęty z nieznanych dotąd pamiętników	0:25
192. KOCHANOWSKI J. Treny. Wyd. 2	0:60
193. OPPMAN A. Pieśni o księciu Józefie	0:25
194. SZUJSKI J. Bartosz Głowacki. (Ostatnia nobilitacja). Z przedmową H. Mościckiego. Wyd. 2	0:50
195. GOMULICKI W. Wybór poezyj	0:25
196. SŁOŃSKI EDW. Wybór poezyj. «Ta co nie zginęła...»	0:30
197. KORZENIOWSKI J. Wąsy i peruka. Komedja w 3 aktach	0:40
198. KRASIŃSKI I. Powieść o narożnej kamienicy	0:30
199. SZAJNOCHA K. Matka Jagiellonów. Szkic historycz.	0:25
200. MOLIÈRE J. Skąpiec. Komedja w 5 aktach. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy)	0:60
201. ŻÓŁKIEWSKI ST. Początek i progres wojny moskiewskiej	0:60
202. SMOLEŃSKI WŁ. Znaczenie Tadeusza Kościuszki w dziejach polskich... Z powodu setnej rocznicy śmierci Najwyższego Naczelnika siły zbrojnej narodowej	0:20
203. BYRON. Korsarz. Powieść. Wyd. 2	
204. SZAJNOCHA K. O «łaźni» Bolesława Chrobrego. Kopja husarska. Szkice historyczne	0:25
205. SMOLEŃSKI WŁ. Znaczenie konstytucji 3-go maja. Z powodu 125-ej rocznicy ogłoszenia konstytucji.	
206. SŁOWACKI J. Rozmowa z matką Makryną Mieczysławską	0:30
207. POL W. Wit Stwosz. Poemat	0:40
208. DUBIECKI M. Bohaterski Naczelnik powstania styczniowego (Romuald Traugutt)	0:35
209. ZMORSKI R. Wybór poezyj. Przedmową poprzedził Wł. Korotyński	0:30
210. OPPMAN A. Pieśni o belwederskiem powstaniu	0:25

BIBLIOTEČKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

211. OPPMAN A. Pieśni o legionach i o Księstwie Warszawskiem	0-35
212. KONARSKI SZ. O obowiązkach Polaka. Program działań narodowych, skreślony w r. 1838. Wydał z autografu i przedmową poprzedził H. Mościcki	0-25
213. MOŚCICKI H. Twórca pieśni «Jeszcze Polska nie zginęła!» (Józef Wybicki)	0-25
214. KORZENIOWSKI J. Kollokacja. Powieść. Wyd. 2.	1-50
215. SIENKIEWICZ H. Stary sługa. Wyd. 5.	
216. SHAKESPEARE (Szekspir) W. Kupiec wenecki. Dramat w 5 aktach. Tłumaczenie L. Ulricha	0-75
217. SŁOWACKI J. Kordjan	0-70
218. ŻEROMSKI ST. Do swego boga. Rozdziobią nas kruki, wrony	0-25
219. WYSPIAŃSKI ST. Kazimierz Wielki. Z przedmową i objaśnieniami A. Grzymały-Siedleckiego	0-45
220. DESCARTES (Kartezjusz). Rozprawa o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukania prawdy w naukach. Przełożył Boy. Przedm. i objaśnienia napisał Feliks Kierski	1—
221. WŁODEK L. Bolesław Prus.	0-35
222. GOETHE J. W. Cierpienia młodego Wertera. W przekładzie i z przedmową Piotra Choynowskiego	1—
223. MAŁACZEWSKI E. Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica	0-60
224. CHRZANOWSKI I. Romantyzm polski wobec Konstytucji 3 Maja	0-50
225. MAŁACZEWSKI E. Dzieje Bałki murmańskiej. Historia o białej niedźwiedzicy	0-50
226. CHRZANOWSKI I. Komisja Edukacyjna i jej posiew	0-35
227. REYMONT WŁ. Ave patria, morituri te salutant. Los Toros	0-60
228. SIEDLECKI-GRZYMAŁA A. Żołnierz. Nowela	0-40
230. KONOPNICKA M. W Gdańsku	0-30
231. KONOPNICKA M. Hrabiańko. Jak Suzin zginął. Wyd. 2	0-50
232. CHRZANOWSKI IGN. Chleb macierzysty «Ody do młodości»	
233. CHOYNOWSKI P. Pokusa	0-35
234. SZARZYŃSKI-SEP MIKOŁAJ. Wybór poezyj, wyd. I. Chrzanowski	0-40

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 177



177